Szkółka niedzielna.

Módl się i pracuj, a będziesz szczęśliwy.

№ 43. Kościan dnia 26 Października 1862.

RELIGJA.

Czary.

Któżby się był spodziewał? Pięć lat już jestem w mej Parafji, i pracuję czego Bogu nie wymawiam, jak tylko mogę, aby ludzi pouczyć, oświecić, odwieśdź od grzechów, a pozyskać Bogu. A tu wystawcie sobie, przychodzi kobieta do Sędziego polubownego ze skargą na sąsiada, że ją nazwał ciotą. Ów sąsiad zapozwany przyznaje to spokojnie: A proszę Prześwietnego Sędziego, to istna prawda, bo zadała mi takie czary, że przez kilka tygodni z łóżka nie wstałem.

Aż się uśmiechnął na to Sędzia, a że to jest człowiek mądry, poczciwy i bardzo religijny, zgodził jich jak mógł, i odesłał jich do Księdza, bo powiada, ta rzecz do niego nie należy.

Ci ludzie więc stanęli przedemną. Ażem zdrętwiał, gdym się o tém dowiedział, — powiedziałem jim naukę, że aż jim w pięty poszło, i nagnałem do Spowiedzi Ś. aby się pierw z Bogiem pojednali, bo bez pojednania się z Bogiem nie ma szczerego pojednania się między ludźmi.

A teraz powiedźcie mi, co to są czary? Gusła czyli czary jest to wzywanie złego ducha, aby za jego pomocą co złego drugim zrobić. Za pomocą tajemnych środków, przez wymówienie jakichś słów chcemy dokazać cudownych rzeczy. Oto są czary, gusła czyli zabobony. I powiedzcież mi proszę, czy to nie jest ciemnotą aż strach, przypisywać niektórym słowom lub rzeczom siłę tajemną, boską albo też i czartowską, któréj wcale nie mają ani z natury, ani od Boga? Czyż to nie jest przesądem grubym aż wstyd, wierzyć w takie gusła? wierzyć, że ten lub ów człowiek trzyma z djabłem, i za jego pomocą może drugim co złego wypłatać?

Dawniéj, gdzie nie było tyle nauk, pism, książek, szkół; — gdzie lud był ciemny, toć wierzono w cioty, które na łysą górę kominem na miotle o północy wyjeżdżały, aby tam djabelskie szpryńce wyprawiać, — ba! dawniéj to z téj ciemnoty topiono nawet czarownice. Ale dzisiaj ubolewamy nad tą dawną ślepotą; — ale dzisiaj trzeba być już za nadto w ciemię bitym, i nieznać pierwszych zasad Religji, żeby w coś podobnego wierzyć.

Religja bowiem wyraźnie nam to ostro zakazuje, bo przy czarach, gu-

słach, zabobonach wyraźnie lub milczkiem uciekamy się do złych duchów, z któremi nic wspólnego mieć nie powinniśmy. Bo wyraźnie Pan Bóg powiedział przez usta Mojżesza: dusza, któraby się skłoniła do czarowników, wygładzę ją zposród ludu. — Jest to więc grzech śmiertelny przeciw pierwszemu przykazaniu Boskiemu, bo przez czary i zabobony grzeszymy przeciwko wierze, a my tylko mamy wierzyć w jednego, prawdziwego i żywego Boga, w nim mamy pokładać całą naszę nadzieję, i jego tylko mamy kochać nadewszystko.

Poganom więc i ludziom bez Religji zostawmy wiarę w czary, zabobony, gusła i cioty. My zaś, co pilnie słuchamy nauk w Kościele Bożym i bierzemy je sobie do serca; my zaś, co chętnie czytujemy pisma użyteczne, już odtąd ani w gusła i czary, ani w żadne cioty wierzyć nie będziem.

Lecz pomiędzy nami jeszcze wiele przesądów i zabobonów; wie o tém bardzo dobrze Szkółka, i pisze to wam dla tego obszernie, i przestrzega was, abyście przez takie grzechy nie zatracali dusz waszych, i prosi was, abyście wy wszyscy, którzyście bardziéj oświeceni jak drudzy, pouczali i tych drugich, maluczkich i ciemnych braci waszych; bo przez to pozyskacie jich Bogu, a sobie przyczynicie zasług, i skarbicie sobie skarby, których ani rdza, ani mól nie zepsuje, ani złodziej nie ukradnie, ale trwać będą po wszystkie wieki. —

Medycyna domowa.

Lekarstwo na ból głowy.

Niech się Jegomość nie gniewa, że człek sobie prosty też do Szkółki pisze, bo z przeproszeniem Jegomości nadarzyło mi się licho, że mnie głowa zabolała. Robiłem co mogłem, ale nic nie pomagało, myślałem że mi już pęknie. Ale moja kobieta, co to za młodu u sławnego doktora służyła, i już niejednego ukurowała, utarła mi chrzanu i nakryła go kieliszkiem; a potem jak mi dała ten kieliszek powąchać, to aż mi do ostatniéj komórki poszło. Skrzywiłem się tęgo, że mi łzy w oczach stanęły, — ale za to ból-głowy ustał.

Proszę Jegomości, niech to Jegomość napisze w Szkółce, może się to przyda dla niejednego, co go głowa boli, i w komórce mu nietęgo.

Antek Gołaś.

Kościuszko.

(Ciąg dalszy.)

Kościuszko dowiedział się, że Jenerał Moskiewski Fersen chce się połączyć z głównym dowódzcą Suwarowem, i natychmiast umyślił temu przeszkodzić. Oddał dowództwo nad wojskiem polskiém Księciu Jozefowi Poniatowskiemu, a Jenerałowi Mokronowskiemu nad Litwinami; — a sam z 8000 ruszył przeciw Fersenowi. O trzy mile od niego stał Jenerał Poninski, i ten miał przyjść w pomoc Kościuszce, ale Poninski nie nadchodził.

Kościuszko więc rozłożył się obozem pod Maciejowicami 7 Października, i doskonale się tam okopał. Dowiaduje się o tém Fersen, łączy się z pułkami Denisowa, i zamierzył połączonemi siłami uderzyć na Kościuszkę.

Było to 10 Października. Skoro świt Moskale z hasłem: Warszawa i zemsta, uderzają na Polaków; — Polacy z hasłem: śmierć lub zwycięstwo mężnie jich odpierają. Drzy ziemia od huku dział; tysiące

Moskali spada z okopów; — Polacy walczą jako lwy zażarte, ale Poninski z posiłkami nie nadchodzi. — Moskale odparci uderzają jeszcze zapalczywiéj, Polacy jeszcze mężniej odpierają, aż krew płynie potokiem. Wściekły Denisów na czele Kozaków trzeci raz naciera wołając: za mną kamraci, zginiem albo zwyciężym; — Polacy bronią się do upadłego a Poninski nie przychodzi. — Kozacy zdobywają jeden szaniec po drugim, a Polacy nie tracą odwagi, lecz daremnie oczekują posiłków; — starły się piersi z piersiami, bagnet z bagnetem. Kościuszko w sukmanie krakowskiéj zawsze na czele, zajadle odpiera Moskali, i już stracił Fersen i Denisów nadzieję zwalczenia Polaków, — gdy wtém ukazuje się sam Suwarów na czele świeżego wojska, a Poninski jeszcze nie przychodzi. Kościuszko jednak nie traci nadzieji, chociaż on tylko przewodzi chłopkom z kosami i pikami przeciwko dziesięć kroć liczniejszemu nieprzyjacielowi z potężnemi działami; — on jednak nie traci nadzieji, on nie ustępuje, on walczy póki nie zginie, albo nie zwycięży. Trzeci koń pod nim pada, a on z szablą w ręku jeszcze uderza na Moskala, a wtém ugodzony piką w lewy bok zalał się krwią, i bez zmysłów upada na ziemię. — Polacy krzyknęli: Kościuszko! — on się zrywa z ziemi, jego adjutant Niemcewicz podaje mu konia, — on wszystkie siły swe zbiera i wsiada na niego; — a tu za nim już Moskale, — suwa przez rów, a wtém cięty w głowę pałaszem spada bez zmysłów z konia na ziemię.

Tak się skończyła nieszczęsna bitwa pod Maciejowicami, tak się zakończyło całe powstanie, bo Kościuszko cały ranami okryty dostał się do niewoli Moskiewskiéj. Do téj przegranéj naszéj widzicie przyczynił się najwięcéj Poninski, bo miał przyjść Kościuszce w pomoc, a nie przyszedł. Jać go nie sądzę, bo już go Pan Bóg osądził, aleć go pochwalić nie mogę. Z Kościuszką upadła więc cała sprawa nasza, bo straszna klęska pod Maciejowicami jest grobem niepodległości Polski. —

Gdy Kościuszko spadł z konia na ziemię, miał wyrzec te pamiętne łacinskie słowa: Finis Polonie! to jest po naszemu: Koniec Polski! Lecz to jest wierutne kłamstwo, które nasi nieprzyjaciele wymyślili. Jest niepodobieństwem, żeby człowiek cięty w głowę, i pozbawiony zupełnie zmysłów miał się jeszcze silić na obce wyrazy. Kiedy kogo co na dobre zaboli, to po swojemu krzyknie, bo ból nie daje czasu myślić o jakichś mądrościach, a tu Kościuszko jeszcze do tego był zupełnie bez zmysłów. Dla tego też te łacinskie słowa, które nasi nieprzyjaciele w usta Kościuszce włożyli, są wierutném kłamstwem.

Z Kościuszką dostał się do niewoli jego nieodstępny adjutant i przyjaciel Niemcewicz, co także śliczne pisał wiersze, — oprócz tego Jenerałowie Sierakowski, Kaminski i Kniaziewicz, Major Fiszer, sto innych oficerów i 1600 żołnierzy. Padło zaś Polaków pod Maciejowicami do 6000, i wszystkie armaty dostały się w ręce Moskiewskie. —

Okropny smutek napełnił wszystkich Polaków po stracie swego Wybawcy, i okropne też skutki téj klęski zaraz się pokazały; lecz o tym naszym smutku i o wszystkich tych okropnościach zostawmy do przyszłéj Szkółki. —

Włóczęga.

Włóczęga — a ubogi?
O to przedział srogi. —

Prawie już pod wieczór powracając z pola szedłem jak to mówią ze spuszczonym nosem, medytując nad tém, że to ani kropelka deszczu nie upadnie. Kiedy tak idę, aż tu na drodze wyskakuje ktoś hołubce wybijając. Zbliżam się pospieszniéj i oczom, i uszom mojim nie chcę wierzyć. Bo wystawcie sobie, oto chłopak około lat 12 mający, obdartus całą gębą, prowadząc niby kalekę-dziada, a łyknąwszy zapewne kieliszek, wyśpiewuje na całe gardło:

Gdybyś ty mnie moja Basiu chciała,
Tęgiegobyś kosyniera miała.—

A to co? pomyślałem sobie, i pohamowawszy się w pierwszém oburzeniu, stanąłem nagle przed nim, i zawołałem: Hola mości śpiewaku! jeśli jesteś tak tęgim ko-

synierem, że się aż Basi zalecasz, to się sprobujemy. — Aż mu rury zmiękły, gdy zobaczył księdza przed sobą, nastrojił zaraz okrutnie skromną minkę, właśnie jak kot, kiedy na mysz czatuje. — Ale ja przystąpiłem zaraz do rzeczy i mówię mu: Przeżegnaj się! A tu on chłopak ani wie zkąd zacząć. — Powiadam mu: Mów pacierz!— a on i tego nie umie. — A no! rzekłem, kiedy ty umiesz tak ładnie śpiewać, a Pana Boga chwalić nie umiesz, to cię muszę wziąść w naukę, abyś się nauczył Pana Boga chwalić, pracować, a ludzi nieoszukiwać. Ledwom te słowa wymówił, a tu obdartus uwinął się tak szybko, że mi w okamgnieniu gdzieś przepadł. —

Dopiero ja zwróciłem się do onego niby kaleki dziada, i zacząłem mu prawić, jak wielką odpowiedzialność zaciąga na siebie przed Bogiem, że sam udaje niewidomego, a przytem tak młodego chłopaka psuje i kieruje na łotra. Wzdychał ci on, gdym to mówił, przewracał oczami udając skruszonego, a tymczasem raz poraz spoglądał na kieszeń, w której trzymałem rękę, spodziewając się zapewne po nauce jałmużny. Ale się chudzina potężnie omylił, bo nie tylko że nic nie dostał, ale mu zapowiedziałem, że jeżeli go jeszcze raz gdzie z tym chłopakiem zobaczę, to jego i chłopaka jako próżniaków, włóczęgów i oszustów sołtysowi odstawić każę. —

Poszedł — mrucząc coś pod nosem niby pacierz, a mnie ból serce ścisnął na myśl, że tylu jemu podobnych od wsi do wsi, od chaty do chaty się włóczy, i jałmużnę z biednych ludzi wyłudza, a nawet pacierza jednego za nią nie zmówi. Chłopy jak dęby, twarze nabrzmiałe od pijaństwa, wyuzdane natręctwo szczególnie tam, gdzie chaty pojedyńczo po polach porozrzucane, odgrażanie się, wyzywanie, oto jest pokora, z którą o jałmużnę proszą; — a naśmiewanie, drwinki i pijaństwo, oto modlitwa, która idzie za daną jałmużną.

Lud nasz poczciwy, bogobojny i miłosierny, daje co może; — nawet i najuboższy wyrobnik i ostatnią perką dzieli się z wyciągającym rękę w Imie Chrystusa, bo słyszy na nauce, że błogosławiony mąż, który ma wyrozumienie nad nędzarzem i ubogim, albowiem w dniu złéj przygody wybawi go Pan; — bo słyszy, że jałmużna uwalnia od grzechu, będąc hamulcem przeciwko grzechowi; będąc lekarstwem, żeby powtórnie nie upaść; będąc nam pobudką do pokuty, a przytem zabezpiecza miłosierdzie Boże w dniu sądu ostatecznego. Ale jakiéjże to potrzeba siły, aby się oprzeć pokusię nie dania nic, gdy widzim tyle złości w tych, co się jałmużny domagają w Imie Chrystusowe, ale wbrew duchowi Chrystusowemu! Jakże to gwałtownie serce biedne bije poczciwego i pobożnego człowieka, nie mogąc sobie jasno wytłómaczyć, czy ta jałmużna, którą daje, nie da powodu do większéj obrazy Bożéj!

Z tém wszystkiém Ludu poczciwy! trzymaj się Ś. Pawła, że lepiéj jest dawać, aniżeli brać. Dawajcie więc jałmużnę, a nie oglądajcie się na osobę, bo Bóg widzi serca wasze, i za to odpłaci wam. Pijanym zaś, a szczególnie młodym, silnym i zdrowym, albo też i dzieciom, które wodzą dziadów, nie dawajcie pieniędzy, bo jim przez to do łotrowskiego życia dajecie zachętę. Zasilcie jich kawałkiem chleba, lub łyżką strawy; — a przytem patrzcie, czy mają przynajmniéj wyobrażenie o Bogu i Chrystusie; czy umieją się przeżegnać, lub czy pacierz znają; bo jeżeli tego nie umieją, jakże się mogą na twą intencją modlić?

W ogóle schorzałych, starych, kaleki uważajcie za ubogich; — zdrowych zaś, silnych i natrętów uważajcie tylko za to, czém istotnie są, — za włóczęgów, i według tego swe serce regulujcie. —

Zagadka.

Co to jest?

Na kibitkach jeździłem,
Długą brodę nosiłem. —
Lecz gdy mnie wspak przewrócono,
Na miedziaki zamieniono. —

Redaktor i nakładca X. S. Tomicki w Konojedzie pod Kościanem. — Ćcionkami T. Winklera w Kościanie.